

Ochrona przyrody a społeczność lokalna - szkolenie niekoniecznie obowiązkowe cz. 1

Czasami miewam dzikie myśli

Ochrona przyrody a społeczność lokalna - szkolenie niekoniecznie obowiązkowe cz. 1

Valentin Rasputin, pisarz i ekolog rosyjski towarzyszący Peterowi Mathiessenowi i Paulowi Winterowi podczas ich ekspedycji wokół jeziora Bajkał w roku 1990 mówi na kartach książki „Baikal - Sacred Sea of Siberia” (Sierra Club Books, San Francisco 1992), znakomicie wydanej relacji z tej podróży:

< „Gdybyśmy przykładali większą wagę do wyznawanych przez nich [Ewenków, Jakutów i innych tubylczych ludów syberyjskich] niegdyś wartości, nie mielibyśmy dzisiaj żadnych problemów z przyrodą Bajkału. Zagubienie tego starożytnego poczucia harmonii z Naturą oznacza dotkliwą stratę dla całego naszego społeczeństwa. (...) Gdyby dawniej ktoś mi powiedział, że jednym z planistów zaangażowanych w budowę fabryki z Baikalsku będzie Buriat, nie uwierzyłbym - i w tamtych czasach miałbym rację. Dzisiaj planuje się budowę ogromnej hydroelektrowni w górach Altaju, a jednym z głównych inicjatorów tego projektu jest przedstawiciel ludności tubylczej - oto przykład na to, co dzieje się z nami, kiedy nasze więzi z rodzinną ziemią zostają zerwane. (...) Być może więc naszym priorytetem powinna być ochrona narodowych, kulturowych i etnicznych wartości społeczeństw lokalnych, ponieważ bez respektowania tych wartości ludzkie istoty nie będą w stanie zachować własnego środowiska” (tłum. własne).

Takie przekonanie dzieli wielu przedstawicieli ruchów ekologicznych na świecie. W niektórych kręgach przybiera ono formę utopii wywodzącą się z oświeceniowej koncepcji „szlachetnego dzikusa”. Pewnie dlatego wiadomości o Indianach z Kalifornii otwierających kasyna na swojej ziemi czy o Indianach Yaqui, którzy ziemię ofiarowaną im za pieniądze pozyskane przez akcję Stinga odsprzedali niemal natychmiast koncernom zajmującym się wycięciem lasów deszczowych służą często za przykład usprawiedliwiający chciwość kolonizatorów zachodniego świata. Ma to też udowodnić, że podstawowy rys ludzkich społeczności wszędzie jest ten sam - jeśli trafia się możliwość maksymalizacji zysków, to się z niej skwapliwie korzysta i nie ma co się rozczulać nad świętymi drzewami. Dzisiaj w równym stopniu co dzika przyroda, zagrożona jest społeczność lokalna - wbrew temu, co sugerowałaby frazeologia kół optujących za przyspieszonym rozwojem gospodarczym mającym uszczęśliwić rodzaj ludzki (oraz wszelkie pozostałe istoty). Otóż w dzisiejszych warunkach prawie nie mamy już do czynienia ze społecznością prawdziwie lokalną (czy też prawdziwą społecznością), w każdym razie nie tam, gdzie się jej szuka. Trudno uznać bowiem za społeczność zbiorowisko ludzkie mieszkające w określonym miejscu - najczęściej zbiorowisko takie (w naszych warunkach) nie jest połączone żadną siecią wspólnych połączeń, interesów, pokrewieństw oraz zobowiązań ani ze sobą, ani z miejscem, w którym żyje. Co gorsza, industrializacja stosunków międzyludzkich w społeczeństwie zmniejsza możliwość zaistnienia - i przetrwania takiej społeczności niemal do zera. Małe wioski zagubione w dolinach górskich nie są już w stanie utrzymywać się ze swoich tradycyjnych zajęć, całe masy ludzi migrują do miast oferujących złudne szczęście „zatrudnienia”. Dlaczego złudne? Otóż byli gospodarze swoich mikroskopijnych gospodarstw stają się neoniewolnikami skazanymi na kaprysy korporacyjnej

hierarchii - jeszcze bardziej dotyczy to kobiet, które w wyścigu po miejsce pracy stoją na z góry przegranej pozycji, skazane na prace mniej płatne czy wręcz na usługi dla przemysłu pornograficznego stworzonego z myślą o „zachodnich” turystach. Oczywiście procesy te zostały znakomicie opisane w wielu wyczerpujących analizach i wydaje się, że świat jest już świadomy takich zmian. W dalszym ciągu jednak liczymy na jakiś anachroniczny w tych warunkach (zwłaszcza w państwach przyspieszających swój „rozwój”) koncept „społeczności lokalnej”.

Czy górale z Podhala są społecznością lokalną? Zwłaszcza, jeśli utrzymują się nie z owoców ziemi, ale z zajęć opartych na bezwarunkowej i nadmiernej eksploatacji tej ziemi? Jeśli dodać do tego fakt, że kategoria „górala spod Zakopanego” jest niemal w całości sztucznie skonstruowana, a to, co najsilniej byśmy z Podhalem kojarzyli, zostało zaprojektowane i upowszechnione przez pisarzy, artystów i kuracjuszy (nie mówiąc już o tym, że „styl zakopiański” to również twór „z zewnątrz” stworzony przez Stanisława Witkiewicza), to wydaje się, że kategoria „społeczność lokalna” jest w tym przypadku słabo uzasadniona. Zwłaszcza, jeśli znaczny procent tej społeczności silniejszy związek czuje z niektórymi dzielnicami w Chicago. W każdym razie społeczność lokalna domagająca się prawa do niszczenia ziemi, na której żyje, wskazuje na całkowite rozluźnienie związku z tą ziemią oraz z dziedzictwem swoich przodków. Oczywiście wiele z postaci, które przyłożyły rękę do owego „konstruowania” wizerunku górala, to osoby bardzo zasłużone, wielcy miłośnicy i miłośniczki przyrody Tatr, i zapewne ich szkielety rozsypały się w drobny pył nie tyle od upływu czasu, a od „przewracania się w grobie” na wieść o tym, co się pod Tatrami wyprawia. Być może wizerunek takiego „górala”, jaki hołubi opinia publiczna oraz media nie dość, że od początku noszący piętno sztucznej kreacji, to w dzisiejszych czasach jest całkowicie już nieprawdziwy, coś w rodzaju rodzimego Kaczora Donalda (tyle, że w kierpcach i kapeluszu na głowie).

Czy są więc gdzieś jeszcze społeczności lokalne? O tym, jak wygląda społeczność lokalna w całości zachowująca związek z rodzimą ziemią, i że jest to przypadek wcale nie tak rzadki w kolejnym szkoleniu...

Anna Nacher